

## TRZY dni

Po tylu latach wracałem do tego miasteczka, do którego nigdy mnie nie ciągnęło, z którym kojarzyły mi się tylko dwa najzupełniej niezbieżne fakty, łączące się z przypadkowym, półrocznym pobytem podczas wojny: urodziny mego najstarszego syna i śmierć tego obcego chłopca.

Miasteczko to tkwiło stale w mej pamięci. Jednak przez te lata nie miałem po co tam wracać. Metrykę urodzenia syna zamawiałem kilkakrotnie pocztą — urząd stanu cywilnego przysyłał ją szybko. Niczego więcej nie miałem tam do załatwienia, trasy turystyczne tamtędy nie prowadziły, ludzi miejscowych właściwie nie znałem. Znajomi z okresu wojny — to też przelotne jak ja ptaki, przybysze z różnych stron Polski. A ten chłopiec przecież nie żył.

Musiałem tam teraz pojechać, na krótko, by załatwić dość prostą sprawę, nie wymagającą

dużego zachodu. Patrzyłem oknem na pastwiska poprzecinane rowami, znaczone szeregami olch. Ten krajobraz wbił mi się w pamięć wtedy — po półrocznym okresie — gdy uciekając lasami, wychodziłem pełen obaw na odkryty szmat ziemi i trzymałem się tych rowów, olch i kęp wikliny, jak podanej na ratunek ręki. Uciekałem unosząc w pamięci cudzą śmierć spowodowaną być może przez mój własny strach, przez własną chęć życia jeśli już nie dla siebie to dla żony i dziecka.

Nie zapomniałem do dziś imienia i nazwiska tego chłopca, którego znałem tylko niecałe dwa dni. Nazywał się Jurek Borys. Imię jego znałem wcześniej, gdy tylko przyszedł do aresztu. Nazwisko usłyszałem dopiero po wszystkim, z ust gestapowca, a jeszcze dodatkowo od polskiego policjanta, który krótko po wyprowadzeniu Jurka przyniósł mi pajdę chleba i kubek czarnej kawy. Zatrzymałem wtedy granatowego w progu i choć domyślałem się wszystkiego — a właściwie byłem najzupełniej pewien całej strasznej prawdy — zapytałem go:

— Pan wie, dokąd oni go wyprowadzili?

Spojrzał mi z uśmiechem prosto w oczy.

— Nie wie pan, po co wyprowadzają człowieka tacy dwaj z trupimi czaszkami na czapkach i automatami w rękach? Borysa złapano w getcie. Pan wie o zakazie wchodzenia do

getta pod karą śmierci? On tam poszedł zwyczajnie plądrować.

Omiał nie krzyczałem, słuchając tego nazbyt długiego wywodu. Po co ten człowiek tyle mówił? Wystarczyłby jeden gest.

Znaleźliśmy się z Jurkiem sam na sam naza jutrz po moim aresztowaniu. Niemieccy żandarmeria zaprowadzili mnie pod tymczasowy dozór posterunku granatowej policji. W areszcie siedziało kilka osób, potem z godziny na godzinę robiło się przestronniej, a po długiej bezsennej nocy zostałem sam. Jurek doszedł rano. Długo nie rozmawialiśmy z sobą, bo o czym miałem gadać z piętnastoletnim wyrostkiem. Potem na moje zapytanie wyjaśnił, że go tu przyprowadzono z getta. Został sam po rozstrzelaniu ojca i w opustoszałej dzielnicy chciał znaleźć przytułek sądząc, że przy zachowaniu pewnych środków ostrożności będzie tam najbezpieczniejszy. Zamierzał po paru dniach zaopatrzyć się na drogę w wyludnionych domach i powędrować w poszukiwaniu zagubionego brata-bliźniaka.

Ten bliźniak Jurka niepokoił mnie, gdy po latach wracałem pociągiem do tego miasteczka. Jeżeli żył jeszcze — był jedynym człowiekiem, przed którym musiałbym wypowiadać się, od którego mogłem oczekiwać sądu. Może ten bliź-

niak Jurka okazałby się wreszcie kimś, kto by wydał na mnie sprawiedliwy wyrok?

Gdy siedzieliśmy wtedy w areszcie — już sami — przejrzałem wszystkie zakamarki swego więzienia. Było to dość prowizoryczne pomieszczenie, coś jakby przybudówka do budynku, w którym mieścił się posterunek. Duże żelazne drzwi, prowadzące z pewnością na podwórze, były zamknięte na masywny zamek. Ale z zewnątrz mogła wisieć jeszcze kłódka. Łatwiejszą drogą ucieczki wydawała mi się kłapa w suficie — na pewno mniej pieczołowicie zabezpieczona — przez którą można było, podstawivszy taboret — wyjść na dach. Tę kłapę postanowiłem zbadać dokładniej w nocy, gdy Jurek będzie spał. Była moją jedyną nadzieją na wypadek, gdyby mnie w ciągu trzech dni nie wypuszczono. Powiedziałem sobie bowiem: — Do trzech dni.

Do ucieczek byłem już przyzwyczajony. Jesienią 1939 roku zdążyłem siedzieć w dwóch obozach przejściowych i z obydwu uciekłem. W Opatowie taki obóz urządzili Niemcy w kościele, a ponieważ było nas zbyt wielu — również na kościelnym cmentarzu. Tam to właśnie trzeciego dnia przesadziłem kościelny parkan i znalazłem się w mieście.

Może to stamtąd pozostał we mnie przesąd o trzecim dniu? — Nie, raczej z doświadczeń

